

7

W LABORACH

Był słoneczny majowy poranek, gdy wysiadłem z pociągu na Gare D'Est. Paryż. Doświadczałem uczucia mężczyzny, który widział wiele portretów pięknej, fascynującej kobiety, marzył o niej, a teraz miał ją spotkać. Przemierzałem ulice tego miasta znane mi z podręczników historii, ze stron powieści, z obrazów, z fotografii. Nie znałem tu żywej duszy i może właśnie dlatego miasto to zaludniały postacie z podręczników historii, ze stron powieści, ludzie, co już dawno umarli lub nigdy nie urodzili się. Mając skromny zapas pieniędzy nie mogłem pozwolić sobie na obiad, chyba że w bardzo podrzędnej restauracji. Wzdłuż ulic, którymi chodziłem, podrzędnych nie było. Stanąwszy przy kiosku, gdzie sprzedawano sandwicze, najpierw przyjrzałem się co inni kupują i za ile, aby nie zostać oszukanym. Po całodziennej włóczędze, idąc Polami Elizejskimi przy zapadającym zmroku i w blasku ulicznych świateł, dostrzegłem neonową reklamę polskiego filmu „*Le Cindre et le Diamond*” na kinie George V. Plakat objaśniał, że treścią jest walka zbrojna polskiego podziemia z komunistycznym rządem. Już sam fakt wyświetlenia polskiego filmu w sercu Paryża zaskoczył mnie, a co dopiero o takiej fabule. Cena biletu była nieprawdopodobnie wysoka jak na moją kieszeń. Pięćset franków, czyli cały dolar. Po krótkim wahaniu postanowiłem naruszyć moją rezerwę strategiczną i kupiłem bilet.

Przekonany, że film już się zaczął, szybko wszedłem do środka. W rzeczywistości film dobiegał końca. Na ekranie zobaczyłem ostatnie chwile bohatera, gdy kryje się postrzelony przez żołnierzy w polskich mundurach i umiera na wysypisku śmieci. Znajomość końca spotęgowała grozę. Nogi dygotały mi raz po raz. Jakbym widział siebie samego na ekranie. Jakbym oglądał epizod z własnego życia, gdy w oddziale „Błyska” w 1945 roku walczyłem z UB i sowieckim okupantem.

Dziwaczny zbieg okoliczności. Polska, od której uciekłem, zagroziła mi drogę na Polach Elizejskich. Późną nocą doszedłem do Gare d'Orlean.

Był to chyba najdłuższy spacer mojego życia, w każdym razie chyba nie krótszy niż trzydziestokilometrowy marsz z Warszawy do Mińska Mazowieckiego 5 września 1939 roku - ucieczka przed zbliżającą się niemiecką dywizją pancerną.

Pociąg do Orleanu odchodził dopiero wczesnym ranem. Noc spędziłem razem z bezdomnymi, głównie Murzynami. Co jakiś czas pojawiał się policjant i budził śpiących. Ławki przeznaczone były do siedzenia, nie do leżenia. Spać wolno było tylko na siedząco, aby bezdomni nie mogli się zbyt domowić w poczekalni dworcowej. Nie chcąc zadrzeć z policją już pierwszego dnia pobytu we Francji, resztę nocy przedrzemałem siedząc.

Po krótkiej podróży pociągiem zameldowałem się w komendzie kompanii wartowniczych w Orleanie, gdzie dostałem przydział do amerykańskiej jednostki w południowozachodniej Francji w stopniu majora *Labor Service*, czyli „laborów”, jak to zwali Polacy. Wszyscy lekarze kompanii wartowniczych mieli co najmniej stopień majora. Po dwudniowym pobycie w Orleanie ruszyłem w dalszą drogę pociągiem z przesiadką. Podróż zakończyła się w Rochefort, gdzie miał czekać na mnie samochód kompanii wartowniczej. Kiedy wysiadłem tam późnym popołudniem, zapowiadanego samochodu nie było. Gdy głowiłem się co robić, podjechał łazik z amerykańskimi żołnierzami, przyjechali po kogoś kto wracał z urlopu. Wyjaśniłem im swoją sytuację i zabrali mnie ze sobą, należeli do tej samej jednostki, do której ja miałem przydział. I tak wieczorem znalazłem się w barze w towarzystwie kilku Amerykanów w miasteczku Saint Jean d'Angely. Amerykanie, z wrodzonym brakiem zdolności i cierpliwości do wymawiania długich wyrazów, zwali je Saint Jeans. W barze przedstawili mnie oficerowi kompanii wartowniczej por. Januszowi. Od niego dowiedziałem się, że kompania wysłała po mnie samochód, ale na wcześniejszy pociąg. Winne było biuro w Orleanie, pomylili się co do przesiadki, wypisali zły bilet i dlatego przyjechałem dwie godziny później. Batalion inżynieryjny - moja jednostka, rozlokowana była w koszarach w Saint Jean d'Angely i we wsi Fontenet, położonej osiem kilometrów na wschód, gdzie znajdowało się dowództwo. Tylko jeden z wojskowych wracał do Fontenet samochodem, gdzie przygotowano dla mnie kwaterę. Nie miałem wyboru jak tylko zabrać się razem z nim albo wypuścić się w drogę na piechotę. Sęk w tym, że był to dwuosobowy odkryty samochodzik i miał już jednego pasażera. Usiadłem z tyłu nad kołem zapasowym i musiałem trzymać się klamry z przodu, aby mnie nie zdmuchnęło. Odstąpiłem od zasady, aby nigdy nie wsiadać do samochodu z podpitym kierowcą i po tym doświadczeniu nigdy tego nie zrobiłem. Po obu stronach wijącej się, wąskiej asfaltowej szosy rosły wielkie rosochate drzewa, które w świetle reflektorów dawały złudzenie tunelu z pni i gałęzi.

Samochód mknął tak szybko, iż zdawało się, że chwilami odbijał się od ziemi jak piłka. A może i odbijał. Strzałka szybkościomierza raz po raz przekraczała sto kilometrów i niekoniecznie opadała na zakrętach. Kurczowo trzymałem się uchwytu.

Następnego dnia rano zgłosiłem się do dowódcy polskiej kompanii wartowniczej, kapitana Iwańskiego. Był to szczupły, ale muskularny, łysiejący brunet, prosty jak sztormowa zapałka, w średnim wieku i więcej niż średniego wzrostu. Na opalonej twarzy odcinał się ciemny, starannie wygolony zarost, maleńki czarny wąsik i nieco wypukłe oczy. Nienagannie utrzymany mundur, a zwłaszcza spodnie przyprasowane na ostry kant wskazywały, ile wagi przywiązywał do swego wyglądu.

W małym baraku mieściło się dowództwo kompanii i jej świetlica. Obok znajdowała się przychodnia, czyli *dispensary*, gdzie kapitan Iwański przedstawił mnie kierownikowi przychodni doktorowi Rees w stopniu kapitana oraz polskiemu lekarzowi dr. Barskiemu. Iwański, z zawodu nauczyciel, przed wojną był czynny w akcji repolonizacji Ukraińców, tych, którzy pochodzili z schłopiałej polskiej szlachty. Przedstawiało im się dowody szlachectwa ich przodków.

W magazynie otrzymałem wojskowy ekwipunek w postaci angielskiego munduru z czasu drugiej wojny światowej, czarnych półbutów czyli *low quaters*, brązowych butów marszowych, specjalnych „buto-kaloszki” zwanych popularnie *Mickey Mouse boots*, podobnych do tych, które nosił Mickey Mouse z kreskówki Disneya, namiot oraz wiele wyposażenia na lato i na zimę, na pogodę i na słotę.

W komendzie batalionu kapitan Iwański przedstawił mnie dowódcy jednostki pułkownikowi Johnsonowi. Amerykański obóz, ogrodzony drutem kolczastym, położony był na wzniesieniu, skąd rozpościerał się widok na okolicę, pola uprawne i kępy zieleni. Krajobraz przecinała linia drzew rosnących wzdłuż szosy, ciągnąca się aż po sam horyzont.

Do obozu wjeżdżało się pod górę od kamiennej wioski Fontenet. Bramy zwykle pilnowało dwóch żołnierzy, Polak i Amerykanin. Wzdłuż drutów patrolowali Polacy. Podobno rząd francuski tylko Polakom pozwalał służyć w kompaniach wartowniczych. Oficerowie i cywilni pracownicy nie mogli mieszkać na terenie obozu. Z pomocą por. Normarka wynająłem pokój u francuskiej rodziny robotniczej w Saint Jean d'Angely i do pracy dojeżdżałem korzystając z różnych okazji. Samochód był niezbędny.

Jeszcze w Kaiserslautern zapisałem się na kurs jazdy praktykując na ciężarówce. W obozie Fontenet po zdaniu teoretycznego egzaminu otrzymałem *driver's permit*, co upoważniało do prowadzenia samochodu, gdy obok siedział pełnowartościowy szofer.

Za radą dr Barskiego kupiłem czarną simkę aronde za 1200 dolarów, oczywiście na raty, przez PX (*Post Exchange*), co było taniej niż na francuskim rynku. Moją edukacją na szofera zajął się, co należało do jego obowiązków, por. Normark. Z wyglądu i temperamentu stanowił przeciwieństwo swego dowódcy, kpt. Iwańskiego. Niewysoki, otyły, łatwo się zaperzał, zwłaszcza gdy rozmowa schodziła na temat polityki, podczas gdy Iwański nigdy nie podnosił głosu, choć moim zdaniem, łatwo mu to nie przychodziło. Normark, każde odchylenie w lewo od własnych poglądów politycznych podejrzewał o kryptokomunizm. Właściwie pasowałoby do niego zdanie z dumą wypowiedziane przez członka jednego z europejskich parlamentów przed pierwszą wojną światową (chyba rosyjskiej Dumy): „Na prawo ode mnie jest tylko ściana”. W czasie obrad lewica siedziała po lewej stronie, prawica po prawej, a umiarkowani w środku.

Normark był świetnym instruktorem. Cierpliwy, wyrozumiały i doświadczony. Dawał rady, niektóre po czterdziestu latach jeszcze pamiętam. W czasie nauki jazdy przytrafił mi się pierwszy wypadek. W wąskiej uliczce uderzyłem w okiennicę. Okiennicy na szczęście nic się nie stało, samochód dostał pierwszą bliznę. Przejechawszy odpowiednią ilość kilometrów w towarzystwie instruktorów, po zdaniu egzaminu drogowego, otrzymałem prawo jazdy. Teraz byłem gotów, przynajmniej w teorii, pojechać do Niemiec po Marysię.

Zacząłem studiować automobilową mapę Francji, żeby ułożyć odpowiednią marszrutę do Kaiserslautern. Doświadczonemu kierowcy wystarczyłoby raz spojrzeć. Dla mnie była to wyprawa przez niebezpieczny teren, najeżony przeszkodami jak safari. Jak dotąd, przejechałem zaledwie pięćset kilometrów, i to po niemal pustych drogach.

W kompanii powszechnie uważano, że nie dojadę, ktoś podobno chętny był założyć się, że mi się nie uda. Jedyne porucznik twierdził, iż wrócę cały i własnym samochodem. Automobilowa mapa pocięta była czerwonymi, żółtymi i białymi liniami. Czerwone to główne arterie, trzeba ich unikać, żółte, mniej ważne i mniej zatłoczone, białe - to boczne drogi, najmniej uczęszczane, zwłaszcza teraz, u szczytu sezonu turystycznego. Głowię się, jak na biało

zaznaczonymi drogami przejechać od Atlantyku do Renu omijając co większe miasta. Im dłużej wpatruję" się, tym większe obawy mnie opadają. Najprościej byłoby jechać na północ do Loary, potem skręcić na wschód wzdłuż rzeki. W ten sposób jednak zbliżałem się do Paryża, gdzie drogi bardziej zatłoczone były samochodami. Można było też skierować się z St Jean d'Angely wprost na wschód na Limoges i Clermont Ferrand, a potem na północny wschód. Zbliżało to mnie jednak do Masywu Centralnego, gdzie teren był mocno pofalowany. Niczego tak się nie obawiałem jak sytuacji, kiedy jadąc pod górę muszę zatrzymać się przed czerwonym światłem, a po tym próbować ruszyć manewrując gazem, hamulcem i sprzęgłem. Motor mi gaśnie, próbuję zastartować, samochód stacza się w dół, uderza tego z tyłu, robi się zator, trąbią na mnie, policjant biegnie...

Po wschodzie słońca ruszyłem w drogę z zapasem żywności i napojów. Przejechawszy kilkanaście kilometrów ujrzałem stojącego u skraju drogi chłopaka. Machnął na mnie ręką i przystanąłem. Celem jego podróży był Orlean. Mówił tylko po francusku, ale i tak było mi rażniej we dwóch. Okazało się, że nie na długo. W Poitier poprosił, abym się zatrzymał i wysiadł. Chyba mu się spieszyło, a ja jechałem za wolno, a może poczynił niekorzystne obserwacje odnośnie moich umiejętności prowadzenia samochodu.

Odtąd byłem sam. Obawiając się wjechać do Tours z uwagi na ruch uliczny, planowałem okrążyć je skręcając na wschód przed samym miastem. Znalazłem się jednak w środku „lawiny samochodów” - czegoś podobnego nigdy nie doświadczyłem w Saint Jean d'Angely - i na skrzyżowaniu nie udało mi się skręcić w prawo. Razem z innymi musiałem wjechać do centrum miasta, pełen najgorszych obaw i z uczuciem, że straciłem kontrolę. W końcu wydostałem się na szosę główną do Orleanu. Jechałem wolniej niż inni, którzy coraz to trąbiąc mijali mnie, bądź też trąbili z tyłu za mną, chyba abym dodał gazu albo zjechał na bok. Jak się później przekonałem, Francuzi nie są najgorsi jeśli chodzi o trąbienie. Włosi biją ich na głowę. Mijanie na wąskich dwukierunkowych szosach wymaga nie lada zręczności. Zwą to *coup de poisson* -mijając wykonuje się manewr przypominający ruchy ryby wyjętej z wody. Nowe samochody mają często doczepiony z tyłu napis *voiture en rodage* (wóz w dotarciu), aby ci z tyłu wiedzieli dlaczego wolno jedzie. Powinienem być przyczepić sobie taki sam albo podobny *voiture et chauffeur en rodage*. Wtedy daliby spokój z trąbieniem.

Robiło się coraz upalniej. Słońce już stało w zenicie, a Orlean wciąż był przede mną. Pamiętałem z historii, że miasto to bezskutecznie oblegał Attyla.

Od Tours do Orleanu prowadziła prosta szosa wzdłuż Loary, ale gdy minąłem Orlean, marszruta skomplikowała się, Od czasu do czasu zatrzymywałem się w cieniu drzew, aby sprawdzić na mapie dalszą drogę, aby zjeść, wypić, wyjść za potrzebą, wyprostować obolałe kości. Słońce zniżało się, a granica wciąż była daleko. Motor z lekka rzeził i zaczął zagrzewać się, strzałka termometru poszła w górę, choć jeszcze nie dotknęła czerwonej kreski. Musiałem naciskać mocniej gaz, aby utrzymać szybkość. Dopiero przystając zauważyłem, że jechałem na niskim biegu. Zapomniałem wrzucić z powrotem na czwarty wyjeżdżając z jakiegoś miasteczka. Za moimi plecami zachodziło słońce, zapalały się światła w oknach domów. Zapadła noc, a ja wciąż byłem we Francji. Wjechałem na złą drogę i musiałem zawrócić. Odtąd przystawałem u zbiegu szos, aby odczytać drogowskazy i porównywałem z mapą. Gdy oślepiały mnie reflektory zbliżających się pojazdów, zwalniałem i zjeżdżałem na sam skraj drogi. Doznawałem uczucia, jakbym był sam, zdany na własne siły, pośród bezkresnego oceanu, a samochód nabierał cech żywego stworzenia, towarzysza wędrówki. Drogi opustoszały, pociemniały. Pojawiły się germańskie nazwy miejscowości. Gdy przekroczyłem granicę, zniknęły pojazdy o żółtych światłach reflektorów, zastąpiło je białe światło, bardziej oślepiające. Gdy po północy wjeżdżałem do Kaiserslautern, czułem się już doświadczonego szoferem.

Po powrocie do Saint Jean d'Angely zamieszkaliśmy na poddaszu piętrowego domu przy ulicy rue de Banc, szerokiej do czterech metrów, przecinającej trochę zygzakiem południową część miasteczka, liczącego według jednych dwa, według innych pięć tysięcy mieszkańców. Nasza siedziba składała się z pokoiku i łazienki w korytarzu. Tam, gdzie stał nasz dom, u zbiegu rue de Banc i rue de Verdun, znajdował się mikroskopijny placzyk z drzewem pośrodku, a obok *boulangerie*. Rue de Verdun była tak wąska, że normalny amerykański samochód nie przecisnąłby się. Raz zaszedłem do *boulangerie* po ser.

- *S'il vous plaît, camamebert.*

Na to sklepikarz wskazał mi półkę, gdzie leżały różne jego odmiany. Gdy de Gaulle wracał do władzy w 1958 roku, grupa zaniepokojonych obywateli wyraziła obawy, że chce on ustanowić

dyktaturę, na co de Gaulle odpowiedział: „Nie może być dyktatury w kraju, gdzie jest dwieście gatunków sera”.

Od strony podwórza, piętro poniżej okna naszego pokoju, płaski dach służył kotom za miejsce zebrania towarzyskich. Schodziły się tam w różnych porach dnia. Zwykle było ich tam po kilka lub żaden. Siedziały osobno z przymrużonymi oczami, niby to drzemiąc, niby to nie zwracając na siebie uwagi. Jednak kiedykolwiek białoczarny kot pojawiał się, wkrótce rudy schodził z dachu.

Jak Paryż ma wieżę Eiffla, tak St Jean ma dwie bliźniacze wieże kościelne bez kościoła. Górują nad miastem. Widać je z daleka z otaczających wzgórz. W drugiej połowie osiemnastego wieku rozpoczęto budowę okazałego kościoła. Ukończono tylko dwie wieże i frontową ścianę, tam gdzie ołtarz, gdy wybuchła rewolucja. Budowę przerwano i nigdy do niej nie powrócono. O kilkanaście kroków od obu wież stał niski, prostokątny, płaski stary kościół, spalony wielokrotnie, pamiętający najazdy Normanów. W niedzielę o dziesiątej rano całą grupą przychodzili na mszę Polacy. Francuzów bywało niewiele i to tylko ci zamożniejsi. Chłopów nie widywało się. Przychodziliśmy oboje, aby nie wyróżniać się od innych. Jak Paryż Sekwana, tak St Jean przecina rzeczka Boutonne. Przy zdrowych nogach i dobrym rozbiegu dało się ją przeskoczyć. Oba brzegi łączył most. Od Fontenet wjeżdżało się do St Jean obok miniaturowego parku z klombami. Tu pierwszy raz w życiu zobaczyłem żywą palmę. W tym miejscu zbiegały się drogi: z północy z Niort i Poitiers, ze wschodu z Angouleme i z Cognac, a od południa z Saintes i Bordeaux. Do placu, gdzie stał ozdobny Hotel de Ville, jadąc samochodem trzeba było się przebić przez labirynt krętych wąskich uliczek, ostrożnie manewrując, aby o coś nie zaczepić. Obok Hotelu de Ville stał masywny budynek straży pożarnej, czyli *pompier*, gdzie od czasu do czasu odbywały się huczne zabawy. Ścisk bywał taki, że zamiast tańczyć dreptało się w miejscu. Na kawę z ciastkami można było zajść do Café de la Paix lub Café de Paris, gdzie w niedzielę o jedenastej spotykali się Polacy. O kilkadziesiąt kroków od naszego domu znajdowała się „dzielnica” eleganckich sklepów i starożytna baszta z zegarem.

W nocy średniowieczne centrum miasta, słabo oświetlone, nabierało tajemniczego uroku. Raz, wracając do domu o północy, natknąłem się na samotnego kota, który również dokądś podążał. Ruszyłem za nim pustymi krętymi uliczkami, ciekaw czy się tylko błąka, czy też idzie do z góry wyznaczonego celu. Oprócz nas obu

ani żywej duszy. Cisza była taka, że słyszałem tylko własne kroki i ich echo. Kot szedł bez pośpiechu, nie oglądając się na mnie. Skręcił w prawo, w lewo, w prawo i zatrzymał się przed jakimś domem, wskoczył na schody, siadł przy drzwiach, znieruchomiał i już się więcej nie ruszył.

Kierownik przychodni, dr Rees, był dopiero co po studiach, młody, a już otyły. Mieszkał z żoną. Sądząc z jego uwag był już rozczarowany do życia, a chyba i do małżeństwa. Pochodząc z Luizjany, mówił po francusku. W moczarach wokół dolnego biegu rzeki Missisipi zwanych *bayou*, gdzie się wychował, łamana francuszczyzna nadal była w użyciu. Spytałem mojego kolegę rodaka, dr. Barskiego, jak się wydostał na zachód. A oto co usłyszałem. Z Dolnego Śląska przeprawił się przez Nysę na niemiecki brzeg, ukradł rower i za dnia pedałowal w stronę Berlina, żywiąc się po drodze tym, co wziął ze sobą i czym popadło, nocą kryjąc się w życie. Policja po drogach legitymowała tylko pieszych, nie zaczepiała rowerzystów, bo rowerami jeździli robotnicy do pracy. Po paru dniach dotarł do Berlina i metrem przejechał ze wschodniego do zachodniego sektora. Włożyłem tę opowieść między bajki, chociaż podobne wątpliwości mieli ludzie słysząc o moich prawdziwych przygodach.

Naszymi pacjentami byli wojskowi i ich rodziny. Trudniejsze przypadki odsyłaliśmy do amerykańskiego szpitala koło La Rochelle. Poza przepisywaniem lekarstw do naszych obowiązków należało wykonywanie drobnych zabiegów chirurgicznych - jak usuwanie skrzepów z hemoroidów, wyjmowanie opitek metalu z rogówki. Nigdy mnie tego w polskich szkołach medycznych nie nauczyli. Poprosiłem doktora Barskiego, aby mi pokazał, gdy będzie wykonywał zabieg. Dr Barski obiecał, ale mu nie szło z dotrzymaniem obietnicy, jakbym był jego konkurentem, którym nie byłem i być nie mogłem. Udawał, że zapomniał dać mi znać zawczasu, choć nasze gabinety znajdowały się obok siebie. W końcu dopilnowałem go, nie mógł mi otwarcie odmówić. Wolałem zwrócić się do niego niż do dr. Reesa. Po co szefowi i to obcemu wyjawiać swoje braki. Naradzałem się także z Barskim przed kupnem samochodu. Doradził mi czarny kolor, elegancki, brudu na nim nie widać.

Kupiwszy simkę aronde (miał taki sam wóz, tylko w innym kolorze), wkrótce przekonałem się, że brud na czarnym jest bardziej widoczny niż na innych kolorach. Gdy o tym wspomniałem Barskiemu, odparł: Oczywiście, po co pan kupił czarny, na czarnym

brud się dobrze uwidacznia. - Przecież to pan sam doradził mi czarny - odrzekłem. Na to on coś odchrząknął unikając mego wzroku. W rozmowie dr Barski tylko przelotnie spoglądał na swego rozmówcę. Nieraz wydawało się, jakby się zastanawiał nad każdym następnym słowem, zanim je wykrztusił. Nie to, żeby się zaciął czy jąkał, ale głos mu się zmieniał. W czasie zwykłej rozmowy często sprawiał wrażenie człowieka przesłuchiwanego, jakby coś ukrywał. Podobno ukradkiem widywał jakąś kobietę, „Francuzicę”. Nigdy jej nie pokazał, ale nasi wartownicy nie na darmo mieli dobrego nosa.

Trzecim oficerem kompanii był por. Janusz, żonaty z Francuzką z Angoulême. Nasi zwali go „Polish CIA”. Nie miał dzieci i bardzo nad tym bolał. Z tego powodu poddawał się nawet skomplikowanym operacjom. O kilka lat starszy ode mnie, dobrze orientował się w sytuacji w Czechach zaraz po zakończeniu wojny. Odgrywał jakąś rolę przy przerzucaniu kurierów między Polską a Zachodem. Według niego w Czechosłowacji wówczas operowały jednostki polsko-sowieckiego wywiadu udające agencje rządu londyńskiego, do ich zadań należało wyłapywanie uciekających z Polski na Zachód. Przechwyconych rozstrzelowano. Por. Janusz zaprosił nas na kolację do Angoulême. Żona, ładna blondynka, nie mówiła ani po angielsku, ani po polsku. Marysia nie rozumiała francuskiego, a ja ze swoją francuszczyzną daleko nie zaszedłem.

Marysia poduczyła się angielskiego bardzo szybko, jeszcze w Niemczech, i dostała pracę w dziale finansowym klubu oficerskiego. Jej pensja wynosiła sto dolarów miesięcznie, moja dwieście siedemdziesiąt, i to bez podatku. W Niemczech razem zarabialiśmy sto dwadzieścia.

Młody dentysta, rodem z Brooklynu, często odwiedzał wujka mieszkającego niedaleko, w Cognac. Jego wujek tym się wyróżniał spośród milionów innych wujków, że za żonę miał światowej sławy murzyńską tancerkę Josephine Baker. Z jej to inicjatywy małżeństwo zaadoptowało kilkoro dzieci różnych ras. Dentysta był niskiego mniemania o jej macierzyńskich instynktach. Dziećmi zajmował się wujek.

Poza nielicznymi wyjątkami, wartownikami byli ludzie samotni. Wielu nawet nie poszukało sobie miejsca wśród miejscowej ludności, ale nadal, z własnego wyboru, gnieździło się w barakach, po kilku czy kilkunastu na jednej sali. Ci mieszkający w barakach ciągle sobie dogryzali, ale nie mogli się rozstać. Paru pożeniło się z Francuzkami, dwóch przywiozło z za Renu żony Niemki. Był Żyd

samotnik cieszący się uważaniem z racji swej reputacji „kozaka”. Był też i Czech udający Polaka. Opanował polszczyznę dość dobrze. Dowództwo oficjalnie uznało go za Polaka, bo inaczej nie otrzymałby pracy w kompanii. Straszny wypadek zdarzył się w innym obozie, położonym w pobliżu Atlantyku. Na sali ogólnej jeden z wartowników zaczął strzelać. Było kilku zabitych.

Co kilka miesięcy odbywały się rozgrywki szachowe i pingpongowe. W pierwszych łatwo pokonałem konkurentów. W drugich uplasowałem się na trzeciej pozycji i to na przemian z niejakim Lisem. Lis wyróżniał się tym, że trochę seplenił, a poza tym przypominał lisa, nie charakterem, a wyglądem. Mistrzem pingpongowym kompanii był przystojny brunet Franek. Miły w obejściu, kiedyś boksował się. Sprawiał wrażenie człowieka, który mógłby i powinien być lepiej urządzić się w życiu, niż chodzić z karabinem wokół drutów kolczastych w pogodę i we słotę. Okazało się, że miał swoją szansę w życiu. Przed kilku laty poznał młodą Szwajcarkę. Dziewczyna musiała zakochać się w nim, bo go namawiała do ożenku. Miał do niej przyjechać w góry, pobrać się i osiedlić w Szwajcarii. Już miał ruszyć w drogę, gdy zaczęło się lato, słońce dopiekało. Kumple doradzali mu: „Co tam się będziesz spieszył Franuś, będziesz się tłukł pociągami, męczył w tym gorącu, pocił, poczekaj aż ochłódnie.” Dziewczyna czekała i czekała, listy pisała. Nie ochłodziło się aż jesienią, a tymczasem i jej wychłódło.

Straszny wypadek zdarzył się w kilka miesięcy przed moim przyjazdem. Kilku naszych wartowników nocą wracało z St Jean do Fontenet, miejscowości odległych o osiem kilometrów. Jechali, jak potem odczytano na szybkościomierzu, sto dziesięć mil na godzinę, czyli ponad sto siedemdziesiąt kilometrów. Tam, gdzie szosa nieco zagina się, samochód otarł się o jedno drzewo, zawinął się, uderzył dachem w następne, okręcił się wokół pnia i zawisł pół metra nad ziemią. Jeden tylko Heniek przeżył. Uderzenie wcisnęło go do bagażnika. Na przemian rozcinali metal tlenowymi palnikami i polewali wodą, aby chłodzić. Wyjęli go dopiero po trzech kwadransach. Najpierw przyjechało francuskie pogotowie, a że jęczał, dali mu zastrzyk morfiny tam, gdzie widoczny był kawałek ciała pomiędzy pogiętym żelastwem. Potem przyjechało amerykańskie pogotowie, a że wciąż jęczał, dali mu zastrzyk morfiny. W izbie przyjęć szpitala dostał jeszcze jeden zastrzyk i omal nie umarł z powodu przedawkowania morfiny. Po pół roku wyszedł ze szpitala. Pogruchotane kości jakoś się zrosły, choć nie wszędzie

prosto, i wrócił do pracy. Już nie chodził z karabinem wzdłuż drutów, dostał inny przydział - siedział w budce przy bramie. Od ubezpieczenia otrzymał dziesięć tysięcy dolarów, za jedną trzecią tej sumy kupił sobie luksusowy samochód, jakiego nikt nie miał w kompanii - simcę chambord. Moja simca aronde kosztowała tysiąc dwieście. Raz, gdy jechałem na plażę w jego simce chambord razem z kilku wartownikami, minął nas samochód stary i nie tak okazały jak jego. Kumple zaczęli go podpuszczać, a droga była kręta: „Heniuś, co, dasz się prześcignąć takiemu grzechotnikowi!”

Pomimo ostrzeżeń kapitana Iwańskiego zawadiacka jazda była w modzie. Najłagodniejszym jej przykładem było branie zakrętu przy takiej szybkości, aby opony zapiszczały. To się nazywało jechać ze śpiewem. Najniebezpieczniejszym popisem była szybka jazda, jak najszybciej, dwa samochody obok siebie, łeb w łeb, celem podania butelki wódki z jednego do drugiego.

Od czasu do czasu odbywały się obchody narodowych świąt. Na takie okazje zjawiał się pułkownik z dowództwa kompanii wartowniczych, czyli Labor Service z Orleanu oraz ksiądz kapelan, obaj Polacy. Do obchodów rocznicy Bitwy Warszawskiej 15 sierpnia przygotowania trwały kilka tygodni. Zaczęło się od okolicznościowych przemówień, nie tak długich jak w Polsce. Potem nastąpiła część artystyczna, popisy wokalne i deklamacje. Dwunastoletnia dziewczynka recytowała po polsku długi i trudny wiersz o treści patriotycznej. Była wyraźnie speszona od samego początku. Zaczynała się, zapominała, pot jej wystąpił na czoło. Sam czułem się nieswojo, widząc jak się męczy. Siedzący w pierwszym rzędzie uśmiechali się do niej, aby dodać jej odwagi. Wszyscy musieli jej współczuć, bo gdy dobrnęła do końca, uszczęśliwiona widownia nagrodziła ją hucznymi oklaskami. Następny punkt programu przygotowany był przeze mnie. Wykonawcami było dwoje dzieci kaprała kompanii, z matki Francuzki. Pięcioletnia dziewczynka i czteroletni chłopiec nie znały polskiego. Widownia oczekiwała bolesnej powtórki tego, czego przed chwilą doświadczyła, patriotycznego w treści i długiego w formie. Nauczyłem dzieci krótkiego wierszyka, którego z kolei nauczyła mnie mała pacjentka w klinice pediatrycznej w Warszawie. Dzieci stanęły na estradzie i trzymając się za ręce, bez żadnej tremy, szybko, nie modulując głosu wyrecytowały:

W pokoiku, na stoliku
stało mleczko i jajeczko
przyszedł kotek,

wypił mleczko
a ogonkiem zbił jajeczko.
Po czym ukloniły się, dziewczynka wpierv.

NICZEGO



Akademia w komp. 4085

niem Z okazji święta 11 listopada, kompania 4085 Fontenel zorganizowała prze- OW. Jes- o, co Ga- pra- alat- lach, i na u — s go stwo i mi swe- tym rku. raw- ią w anka nie zryje- ie — iobie nych : na- o już wy- m że dpo- „Daj zczego ynu? dko-

Przedstawiono urzędowo w dniu 10 listopada, aby umożliwić członkom kompanii wzięcie udziału w licznych paradach następnego dnia, a zorganizowanych w okolicznych miastach (La Rochelle, St. Jean d'Angely, Angoulême) przez władze francuskie.

Program należy uważać za udany, ciekawy i żywy. Na wstępie d-ca kompanii, kpt. Feliks Iwański, w swoim zwięzłym a treściwym przemówieniu, zapoznał zebranych z przebiegiem wypadków, które były fundamentem uzyskania niepodległości i omówił działalność Marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego.

Przemówienie zakończono odśpiewaniem hymnu państwowego.

W ramach programu, córeczka kol. Mańki, cztero i pół-letnia Krysią, zadeklamowała wiersz Norwida „Moja piosenka”; pani Kurdwanowska odśpiewała bardzo przyjemnie „Żołnierską piosenkę”, „Umarł Maciek” oraz na bis — „Walc Warszawy”, za co została nagrodzona bucznymi brawami; cztero i pół-letnia Kacia Szczepańska, zadeklamowała bardzo ładnie wierszyk okolicznościowy z dużą swobodą, za co serdecznie ją oklaskiwano; kol. H. Winkiel odśpiewał „Stary kapral”, „Wiązankę pieśni legionowych”, oraz zajmował się nadawaniem z płyt muzyki polskiej, za co należą mu się osobne słowa podzięk.

Podkreślić należy, że koledzy, ma-

jący żony cudzoziemki, uczą swoje dzieci polskiej mowy.

Rozdanie nagród uczestnikom kompanijnego turnieju szachowego, nie należało wprawdzie do programu akademii, ale korzystając z okazji, d-ca kompanii, kpt. F. Iwański, dokonał wręczenia nagród.

Nagrody otrzymali: za I miejsce — dr. Jan Kurdwanowski równowartość 15 \$, za II miejsce — Cpl Klejewski równowartość 10 \$, za III miejsce — Cpl. Malinowski równowartość 5\$. Nagroda pocieszenia, w postaci 3-dniowej przepustki przypadła, drogą losowania, kol. Franciszkowi Zieleniec.

Na zakończenie, uczestników akademii częstowano ciastkami i kawą.

Korespondent komp. 4085

OD REDAKCJI

Z powodu wolnego dnia od pracy — dn. 19. XI. — numer piątkowy „Ostatnich Wiadomości” nie ukazał się. Kolejny numer, 128, ma datę niedziela 23 listopad.

Srebrne gody

Niemal przypadkiem dowiedziałem się o radosnym obchodzie w rodzicie kol. Piotra Sikory, kierownika technicznego naszej Drukarni.

W ub. tygodniu obchodził on srebrne gody małżeńskie, co — jak wiadomo — znaczy, że 25 lat przetrwał zwycięsko i szczęśliwie u boku jednej i jedynej Małżonki.

Ponieważ zupełnie „na sucho” wy-

Fragment strony miejscowego dziennika „Ostatnie Wiadomości”

Minęło kilka sekund ciszy, zanim zaskoczona widownia zaniósł się śmiechem. Posypały się brawa.

Poleconą przesyłką przyszedł z Izraela mój dyplom lekarski. Odbił on długą i okrężną drogę. Przed wyjazdem z wycieczką do Włoch wetknęła go do mojej walizki, w tajemnicy przede mną, a za

wiedzą Marysi, moja matka. Szczęściem wyniuchałem, że coś się święci, w ostatniej chwili, już w wagonie, przejrzałem walizkę, znalazłem dyplom i wręczyłem go stojącej na peronie Irenie Kościałkowskiej. Ona z kolei dała dyplom znajomemu, który emigrował do Izraela. Można sobie tylko wyobrazić co by się stało, gdyby przy rewizji na granicy celnicy odkryli dyplom.

Pomimo wielkich postępów w angielskim od czasu gdy opuściłem obóz w Zirndorfie, nie przerywałem nauki. Było mi o tyle łatwiej, że nie musiałem wciąż zaglądać do słowników, bo pytałem sanitariuszy. Było ich trzech z różnych, odległych od siebie stanów, jeden z Michigan, drugi z Utah, trzeci z Oklahomy. W chwilach wolnych od pracy, a takich nie brakowało, zasięgałem ich rady. Mówili z różnymi akcentami i nieraz dawali mi rozbieżne instrukcje odnośnie wymowy niektórych długich wyrazów zwykle francusko-normańskiego pochodzenia. Więc wpadłem na taki pomysł. Ustawiałem ich w odległości kilku kroków od siebie, jeden czytał trudny wyraz, drugi miał go zrozumieć i napisać. Zaskakujące, jak często im się nie udawało. Uwziętem się, aby przeczytać od deski do deski tygodnik „Time Magazine”. Zajęło mi to miesiąc.

Szofer przychodni, rodem z głębokiego południa Stanów, często wspominał swoje rodzinne strony. Słuchając jego opowiadań można było pomyśleć, że żyło tam więcej węży niż ludzi. Dzięki tym rozmowom nauczyłem się nie tylko nazw tych węży, ale także przyswoiłem sobie wiedzę o ich zwyczajach, wyglądzie, działaniu ich jadu, jak ich unikać i jak je łapać.

Prosiłem Amerykanów, aby mnie poprawiali, gdy robię błędy. Zwykle odpowiedź była taka: „Mówi pan dobrze, jak chciałbym tak mówić po polsku, jak pan po angielsku”. Za to Francuzi czasami poprawiali mnie nieproszeni i to ludzie obcy, w sklepie, w biurze - nie robili tego złośliwie, chyba.

Jeszcze w Niemczech poznałem Angielkę wychowaną w Warszawie, zamężną za Amerykanina. Gdy byłem u nich z wizytą ich sąsiedzi, Amerykanie, wpadli na chwilę i stojąc we drzwiach rozmawiali z gospodarzami przez parę minut. Ja przysłuchiwałem się niewiele rozumiejąc, uśmiechnąłem się kilka razy, kiwnąłem głową, jakbym brał udział w konwersacji. Sąsiedzi byli zaskoczeni dowiedziawszy się, że dopiero co przyjechałem z Polski. Ich zdaniem mówiłem po angielsku bez akcentu. Jak mogli zauważyć akcent, jeśli poza przywitaniem „hi” i pożegnaniem „bye” nie odezwałem się ani słowem.

Francuzi, w przeciwieństwie do Amerykanów, udzielając mi informacji mówili tak wyraźnie, że mógłbym powtórzyć słowo po słowie, nawet gdy nie rozumiałem. Tylko najwyższe szarże amerykańskie i Polacy wymawiali moje nazwisko w całej rozciągłości. Pozostali zwracali się do mnie per doctor K. (wymawiali Kej). Pielęgniarką przychodni była niemłoda Francuzka, chuda i kulawa, po chorobie Heinego Mediny, którą przeszła w dzieciństwie. Sanitariusze jej nie lubili, ciągle zwracała uwagę innych na swe kalectwo. *Je suis comme l'oiseau avec la jambe cassee* - mówiła o sobie. Jej główną funkcją było asystowanie przy badaniu kobiet. Ja również korzystałem z jej pomocy. Ostrzeżono mnie bowiem, że zawsze trzeba mieć świadka-kobietę przy badaniu kobiet, aby nie zostać oskarżonym o niewłaściwe zachowanie się.

Najbliższe kino znajdowało się w Saintes, odległym o kilkanaście kilometrów. Przy wjeździe napis na tablicy drogowej informował: *Saintes, la ville roumaine, centre gastronomique, visitez ses monuments historique*. W samym miasteczku zachowały się ruiny rzymskich budowli, arena, łuk tryumfalny Germanika. Po drodze z St Jean do Saintes, które dwa tysiące lat temu zwało się Mediolanium i było stolicą Santones, mijano kamienną wioskę Asinière. Domyślałem się, że za czasów imperium hodowano tam osły i że nazwa pochodzi od słowa *asinus*. Inna wioska zwała się Argentière, chyba od *argentum* - srebro.

W połowie wyświetlania filmu następowała dwudziestominutowa przerwa. Podobnie było i w innych kinach tej ubogiej rolniczej dzielnicy Francji. Najoczywiej nikomu się nie spieszyło, czas nie był pieniądzem. Jeden film widzieliśmy więcej niż raz, komedię *Mon Oncle* z Jacques Tati. Jednym z najbardziej zabawnych momentów jest scena, gdy Jacques Tati zasypia przy maszynie produkującej plastikową rurę. Przy drugim oglądaniu Marysia nie wytrzymała i wybuchnęła gromkim śmiechem wśród zupełnej ciszy, wiedząc co za chwilę nastąpi, na kilkanaście sekund przed tą komiczną sceną. Jacques Tati nie odzywa się, wyjmując fajkę z ust, wkłada fajkę do ust, przygina się, odgina się, zdaje się mówić, choć głosu nie słychać.

Z wybiciem godziny dwunastej w południe publiczne życie w St Jean zamierało, ruch samochodów ustawał, rozpoczynała się trzygodzinna sjesta. St Jean nie leży na południu Europy, bliskość Atlantyku łagodzi ostrość zim i letnie upały, więc tradycyjna sjesta nie jest uwarunkowana klimatem. Psy, dotąd unikające środka ulic z

powodu ruchu pojazdów, upodobały sobie jezdnie dla popołudniowej drzemki na ciepłym asfalcie. Prowadząc wóz w czasie sjeisty nieraz musiałem nagle zahamować, bo pies wylegujący się na jezdni ani się ruszył na widok zbliżającego się samochodu. Trzeba było podjechać bardzo blisko i potrącić. Wtedy dopiero pies unosił głowę, spojrzał zezem, wstawał niechętnie i odchodził powoli na chodnik utykając, jakby każdy krok sprawiał mu ból.

We Francji przejechanie psa było sędownie karane (koty nie miały takiego przywileju), więc kierowcy byli szczególnie ostrożni i dawali im pierwszeństwo. Psy musiały to zauważyć, bowiem nadużywały tego statusu „świętej krowy”, i jeśli ustępowały z drogi samochodom, robiły to opieszale i często w ostatniej chwili. Raz jechałem wolno szeroką ulicą przez wioskę Fontenet, gdy spomiędzy kamiennych chałup wybiegł wielki wilczur, nosem wyrznął w drzwi samochodu i upadł ogłuszony. Czyżby oczekiwał, że mu ustąpię. Nie zatrzymałem się mając nadzieję, że nikt nie zauważył, bo nie psa, ale mnie uznano by za winnego. Już we wstecznym lusterku widziałem jak wilczur podniósł się po kilku sekundach. Obserwując zachowanie się samochodów, psy, mądre zwierzęta, musiały wydedukować, że samochód jest to bojaźliwe stworzenie, coś w rodzaju wielkiej owcy czy krowy. Nocą w blasku reflektorów świeciły oczy zwierząt, zwykle zajęcy i kotów. Jedne zielone, drugie pomarańczowe. Zajęce miały głupi zwyczaj uciekać prosto oświetloną szosą, zamiast uskoczyć w bok w ciemność. Miejscowi mieszkańcy zabawiali się dodając gazu, aby je przejechać. Tak twierdzili Polacy, uważając to za dowód okrucieństwa w charakterze Francuzów. Nasza gospodyni przy Rue de Banc, zarzynając gęś, zamiast zwyczajnie odrąbać ptakowi łeb, tylko z lekka nacinała szyję i wieszła żywą gęś za nogi, tak aby krew powoli wyciekła. Ptak szarpał się, trwało to dość długo. Mięso przyrządzone w ten sposób miało lepiej smakować.

Nocą nie tylko kocie i zajęce oczy świeciły w ciemności. Raz jadąc wąską drogą wijącą się pośród lasu natknąłem się na sowę. Stała pośrodku asfaltu. Zahamowałem. Oślepią blaskiem reflektorów ani drgnęła, gdy podszedłem. Innym razem trzy siedziały na płocie otaczającym farmę, może zaskoczyłem je w czasie nocnego polowania na kurczaki. Podobno gdy są oślepię reflektorem, da je się złapać i wsadzić do worka. Wątpliwe, by poddały się bez walki, mając ostre dziób i szpony.

Do atlantyckiej plaży w Royan i St George de Didonne jechało się trzy kwadransy. W tym rejonie, przy morzu, Niemcy trzymali się

aż do samego końca wojny, choć Amerykanie nieustannie okładali ich bomba mi. Jedynym skutkiem tych nalotów było zniszczenie wszystkiego, co ludzka ręka od wieków zbudowała. Straty wśród ludności cywilnej miały być ogromne. Miejscowi wciąż z goryczą wspominali te bombardowania, ich zdaniem zupełnie nieuzasadnione w czasie, gdy już cała Francja była oswobodzona i alianci mieli do swej dyspozycji liczne porty.

Szerokie plaże o białym piasku przyciągały licznych turystów, wolno było postawić sobie namiot na piasku i przenocować kołysany do snu szumem bądź rykiem fal. Obok skał wrzynających się w morze gnieździły się krewetki. Można było ich nazbierać w ilości wystarczającej na śniadanie. Fale wyrzucały na piasek olbrzymie meduzy, czasem o metrowej średnicy, gniły one szybko w słońcu. Były to dalekie krewne bałtyckich meduz, małych, wielkości dłoni, o pastelowych kolorach, różowych, zielonkawych... niemal przezroczystych. Przykładało się je do ciała tam, gdzie ugryzła osa. Z Paryża przyjeżdżało na wakacje z dziećmi wiele kobiet. Nie wszystkie były przeciwne krótkotrwałym romansom pomiędzy poniedziałkiem a czwartkiem, z czego dobrze zdawali sobie sprawę polscy wartownicy. Mężowie czasem wpadali na weekendy.

Raz, gdy tak wychwalałem Francję w towarzystwie Polaka, który tu mieszkał oddawna, ten rzekł: ale z Francuzami to pan pewnie nigdy nie pracował.

Dr Jerzy Ochman, znajomy z obozu w Zirndorfie, dostał przydział do jednostki amerykańskiej w Chinon nad rzeką Vienne, dopływem Loary. Mieszkał tam z żoną i dwojgiem małych dzieci. Była „złota polska jesień”, gdy wybraliśmy się do niego z pierwszą wizytą. W rzeczywistości tutejsza jesień była bardziej złota, dłuższa i do tego ciepła. Jechałem niemal pustą szosą z drzewami wysadzonymi po obu jej stronach, ich korony spletały się u góry zasłaniając niebo, tworząc jakby tunel o ścianach z pni, gałęzi i liści o wszystkich kolorach jesieni.

Przystanęliśmy obok małego kamiennego kościoła, w środku pusto, tylko ktoś niewidoczny grał na organach melodię sprzed wieków. Była jakaś harmonia pomiędzy naturą a tym, co stworzył człowiek.

Nad Chinon górowały ruiny średniowiecznego zamku. Samo miasto, liczące kilka tysięcy mieszkańców, było równie starożytne jak zamek. Wąskie, kręte uliczki, domy ozdobione wieżyczkami. Za radą Ochmana zaparkowałem samochód w garażu. Gdybym zostawił na

ulicy, mógłbym rano znaleźć przekłute opony, ponieważ miałem amerykański numer rejestracyjny. W Chinon było wielu komunistów. W czasie wojny dr Ochman, wówczas jeszcze nie lekarz, służył w niemieckiej dywizji pancernej, ja zaś walczyłem w Powstaniu Warszawskim, mieliśmy więc interesujący wspólny temat i w czasie moich kilkakrotnych wizyt spędziliśmy wiele godzin rozmawiając o naszych bojowych doświadczeniach. Pancerna dywizja Ochmana najpierw walczyła na Białorusi. Zniszczyli wielką ilość sowieckich czołgów. Według niego niemieckie czołgi miały lufy na specjalnym zawieszaniu, tak że nie trzęsły się w biegu. Sowieckie zaś, aby dobrze wycelować jadąc po nierównym terenie, musiały przystanąć. Z Białorusi przetrzucili go na północ i brał udział w oblężeniu Leningradu, gdzie jego dywizja, cofając się, straciła całe zmotoryzowane wyposażenie. Z powodu straszliwego mrozu oliwa zamarzała i aby zastartować czołgi, najpierw musieli rozpalać pod nimi ogniska. Rosjanie wielokrotnie kontratakowali biegnąc po lodzie. Czołgiści, po drugiej stronie cementowego nabrzeża, wykopali w ziemi doły i umieścili tam karabiny maszynowe, a w murze wykuli otwory dla luf. W ten sposób, sami niewidoczni, kontrolowali ogniem ziemię niczyją. Na lodzie leżało mnóstwo ciał, których nikt nie zbierał. Ochman był dwukrotnie ranny. Z uwagi na stan zdrowia i odznaczenia został przeniesiony do tzw. *streify*. Funkcja *streify* polegała na patrolowaniu ulic. Żołnierzy *streify* poznawało się po specjalnej blaszce zawieszanej na piersiach. Mieli oni prawo legitymować i zatrzymać każdego Niemca w mundurze, włączając oficerów. W Warszawie zwano ich blacharzami. W jego opowiadaniach o bojach na wschodnim froncie wyczuwało się żołnierską dumę. Przydział do *streify* uważał za wyróżnienie. Słuchając jego wspomnień z pola walki odnosiło się wrażenie, że to Niemiec mówiący po polsku, a nie Polak. Opisując zwycięstwa Wehrmachtu używał formy „my”. „Zniszczyliśmy trzydzieści sowieckich czołgów”. Zawsze podkreślał, że jest Polakiem, do dzieci mówił tylko po polsku. Planował emigrować do Kanady, gdzie mieszkał ksiądz, krewny jego żony. Wkrótce po moim wyjeździe z Francji przyszła wieść, że umarł i został pochowany w Chinon nad rzeką Vienne, dopływem Loary. Żona z dziećmi wyemigrowała do Kanady. Ochman był wzrostu średniego, szczupły, nieco pochylony, o pociągłej twarzy z długim nosem, ziemistej cerze i jasnych włosach zaczesanych do góry. Ruchy miał energiczne. Z natury raczej małomówny, ale gdy mówił, to szybko i głośno.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Liście z drzew już opadły, a zima nie nadchodziła. Taka prawdziwa zima ze śniegiem. Ochłodziło się wprawdzie, ale wystarczał sweter pod marynarką, nie trzeba było wkładać palta. Mgły unoszące się z pól zmiękczały i zamazywały kontury drzew i budynków, przesłaniały okolicę. Z pobliskiej szkoły powszechnej w obozie dobiegał śpiew.

Jingle bells, jingle bells, jingle all the way

Oh what fun it is to ride in a one horse open sleigh

Żywe dziecięce głosy kontrastowały z senną naturą.

Zgodnie z tradycją zakupiono wielką choinkę. Do jej strojenia kapitan Iwański wyznaczył tylko dwóch wartowników, zapewne aby uniknąć zamieszania i sporów, gdyby wszyscy brali w tym udział. W skład tego duetu wchodził sepleniący Lis, mój konkurent o trzecią pozycję w mistrzostwach pingpongowych kompanii oraz nowo przyjęty wartownik, młody człowiek, z zawodu kierowca w wyścigach samochodowych, który niedawno wymknął się z Polski. Był rozgoryczony, bo w Niemczech nie mógł znaleźć zatrudnienia w swoim zawodzie. Współpraca Lisa z nowym wartownikiem mogłaby posłużyć jako ilustracja trudności, których często doświadczają Polacy przy wypracowywaniu kompromisu. Od samego początku były tarcia, ale konflikt osiągnął punkt kulminacyjny, gdy przyszło do zawieszania bombek. Podczas gdy kierowca samochodów wyścigowych uważał, że małe bombki należy umieszczać bardziej wewnątrz, bliżej pnia drzewa, a duże na zewnątrz, Lisowi poczucie harmonii dyktowało odwrotne rozwiązanie - duże do środka, małe na wierzch.

Do obowiązków lekarzy należało nadzorowanie grubasów. Według regulaminu armii nie wolno było przekroczyć maksimum dopuszczalnej wagi. Delikwent dostawał ostrzeżenie i jeśli nie pozbył się nadmiaru tłuszczu w określonym czasie, mógł wylecieć do cywila z *medical discharge*, to znaczy niezdolny do służby z powodów zdrowotnych. Każdemu kończącemu służbę zależało na *honorable discharge*. Najgorszy był *dishonorable discharge*. Po zakończeniu obowiązkowej służby były żołnierz zwykle szukał zatrudnienia. Przyszły pracodawca chciał najpierw zobaczyć zaświadczenie z wojska. Otyły por. Normark, aby zrzucić wagę kupował niskokaloryczne bułki zwane bagietkami, droższe od zwykłego chleba. Nie tylko że smarował je masłem i wcale się z tym nie krył, ale i nie dostrzegał w tym żadnej sprzeczności. Po zbadaniu pacjent dostawał papierek zawierający między innymi przepisane leczenie,

informację czy może powrócić do służby i kiedy oraz ewentualne ograniczenia. Na dole tej notatki należało dopisać LOD-yes lub LOD-no. LOD, skrót od *Line of Duty* znaczyło, że żołnierz doznał uszczerbku zdrowia w czasie pełnienia służby. Nie było tygodnia, aby ktoś nie przyszedł z tryprem, a czasem i z syfilisem. Najoczywiściej takie dolegliwości nabywało się nie podczas pełnienia służby. Tym pacjentom także pisało się LOD. Za to jeśli żołnierz zaraził się, gdy nie był na przepustce, albo gdy zszedł ze stanowiska, nazywało się to AWOL (*absent without leave*), wtedy dostawał LOD-no. Chorych badało się indywidualnie. Zdrowych przed wypisaniem do cywila grupowo po czterech i nago. Raz przyszedł podoficer po zaświadczenie, że jest zdrowy. Pytam się do czego potrzebne - do klubu masońskiego. Zdumiałem się. W Polsce przynależność do masonerii była wielkim sekretem, trzydzieści trzy stopnie wtajemniczenia, a Amerykanie przyznają się do tego, jakby to było członkostwo w klubie wioślarskim.

Na poddaszu przy Rue de Banc było nam ciasno w małym pokoiku, do tego wprowadziła się hałaśliwa sąsiadka, trudno było znaleźć miejsce do parkowania samochodu w wąskich uliczkach. Przenieśliśmy się więc na inne poddasze, bliżej peryferii miasta. Na nowym miejscu mieliśmy całe poddasze do naszej dyspozycji i nieograniczony parking. Dom był własnością starszego małżeństwa. On miał lat osiemdziesiąt, ona sześćdziesiąt. Pani mówiła płynnie po angielsku. Gospodarz nie udzielał się towarzysko. Wstawał każdego ranka o tej samej godzinie, wykonywał te same czynności o określonej godzinie, dzień po dniu. Można było odgadnąć co robił po odgłosach dochodzących spod podłogi. Raz zagadnąłem gospodynię, dlaczego we Francji jest więcej niechęci do Anglii niż do Niemiec, pomimo dwóch światowych wojen. „Proszę pana - odrzekła - my, Francuzi, walczyliśmy z Niemcami przez dwieście lat, a z Anglikami przez pięćset”.

Za granicą człowiek coraz to uczy się czegoś nowego, czasem na własnej skórze. Moja simca aronde o cenie przystępnej dla masowego konsumenta, miała podwójny klakson, głośny i cichy. Ten drugi do trąbienia w osiedlach. Mały dowód, ale jeden z wielu, o wyższości francuskiej kultury, nie tej w muzeach, ale w codziennym życiu. Za głośne trąbienie w niewłaściwym miejscu ryzykowało się mandat. Inną innowacją w moim samochodzie były światła parkingowe, które można było włączać po obu stronach lub tylko po jednej. Zaparkowałem samochód tam, gdzie wolno, rano przychodzę

- na szybie mandat. Okazało się, że nie zostawiłem na noc świateł parkingowych, wystarczało tylko po jednej stronie - od jezdni. Przez następne noce zostawiałem światła parkingowe - bateria wyładowała się. Odtąd, jak tylko obudziłem się, a było już widno, biegłem do samochodu wyłączyć światła, aż znalazłem lepsze miejsce do parkowania.

Wiele się słyszy o precyzji francuskiego języka i w ogóle o logice francuskiego myślenia. Posiadając tylko znikomą znajomość języka, nie mogę się na ten temat wypowiedzieć. A oto jeden przykład. Przy wysyłaniu listu poleconego zawierającego treść ważną pod względem prawnym istniała możliwość, że odbiorca oświadczy, iż koperta przyszła pusta. Aby temu zapobiec, list pisało się na wewnętrznej stronie koperty. Do tego celu służył specjalny papier listowy, który po napisaniu tekstu składało się w kopertę i nadawało poleconym. W USA praktykuje dwie trzecie prawników całej kuli ziemskiej, ale jeszcze im do głowy nie przyszło, że można wysłać pustą kopertę poleconym. Gdy brakowało świateł w samochodzie i policja cię zatrzymała, dostawałeś mandat. Jeśliś próbował wykręcić się twierdząc, że żarówka musiała się dopiero co przepalić, że światła były w porządku gdy ruszałeś w drogę, to nie pomagało, chyba żeś miał zapasową żarówkę i wkręcił ją w miejsce przepalonej w obecności policjanta. Policja jest uprzejma, ale nie wolno zapominać, że jest to uprzejmość tygrysa. I lepiej nie uciekać, gdy na ciebie zagwizdzą, na swych motocyklach dogonią najszybszego.

Kompania wykosztowała się na kupno światowego atlasu geograficznego. Umieszczono go w świetlicy. Po kilku tygodniach zniknął. Spowodowało to lawinę podejrzeń. Usłyszałem od wartowników, że por. Janusz oświadczył, iż widział ten atlas w moim mieszkaniu. Zaprzeczyłem, nie wiedząc komu uwierzyć. Wkrótce w czasie jakiejś uroczystości, Marysia podeszła do por. Janusza: „Podobno widział pan ten atlas w naszym mieszkaniu...” Porucznik zaskoczony, w obecności wielu osób wyparł się, że kiedykolwiek widział atlas u mnie na poddaszu.

Po latach dowiedziałem się, że coś przeszkrobał, zwolniono go i dostał *dishonorable discharge*.

Nabierałem coraz więcej wprawy w kierowaniu samochodem. Na europejskich drogach jazda jest bardziej ryzykowna niż w USA, wymaga więcej zręczności i przytomności umysłu. Zwłaszcza gdy twoimi współzawodnikami na asfalcie są Francuzi. Krążył taki dowcip: Jak należy przechodzić ulicę, aby nie zostać przejechanym?

W Anglii z psem, w Niemczech z kimś w mundurze, we Włoszech z blondynką, we Francji pod żadnym pozorem.

Postanowiliśmy zobaczyć światową wystawę w Brukseli. Miała to być moja najdłuższa podróż, odkąd dostałem prawo jazdy. Już na samym początku powinęła mi się noga, niegroźnie, ale kosztownie. Droga prowadziła pod górę i zakręcała w prawo. Przede mną wlokła się ciężarówka. Nie sposób było ją objechać nie przekraczając żółtej linii pośrodku i nie ryzykując wypadku. W pewnym momencie szofer pomachał do mnie ręką, co zrozumiałem, że droga wolna. Ledwo zacząłem go wymijać, zobaczyłem zaczajonych policjantów. Mandat wynosił dziewięćset starych franków. Za mniejszą sumę można było przenocować w podrzędnym hoteliku w Paryżu. Omijając Paryż od zachodu i północy, o zmroku wypatrzyłem leśną ścieżkę i zjechałem z szosy pomiędzy drzewa. Simka aronde miała rozkładane siedzenia i był to jeden z powodów, dla którego kupiłem ten model. Przesadą byłoby nazwać torturą spanie we dwójkę w tym małym samochodzie. Prawdą było, że człowiek wstawał rano zmęczony i zmiętoszony. We Francji nikt się nie czepia, jeśli obcy zaparkuje samochód lub postawi namiot na terenie prywatnego lasu czy pola, jeśli nie powoduje zniszczeń, nie wycina drzew, nie gniecie zboża. Wielekroć się o tym przekonałem. Nie radziłbym nikomu próbować tego w USA. Najprościej byłoby zaparkować na noc obok szosy, ale wówczas przeszkadzałyby w spaniu hałas. Kierowcy przystawaliby, aby sprawdzić czy nie potrzebujesz pomocy. W lesie zasłoniłem tylko czerwone szkiełka odblaskowe, bo odbijały światła reflektorów z szosy i przyciągały uwagę. Moszcząc postanie przypadkowo dotknąłem klaksonu. Jakiś samochód zatrzymał się na szosie i stał długi czas.

Ocknąwszy się o świcie, wyszliśmy z lasu na drogę. Szarówka. Cała okolica zamglona. W dali, pośród pól posuwała się tyraliera. Walki w Algierze nasiliły się ostatnio i wojsko zaczęło się burzyć przeciw cywilnemu rządowi. Krążyły pogłoski o zamachu stanu. Moją pierwszą myślą było, że spadochroniarze wylądowali i idą na Paryż. Mgła ustępowała, rozjaśniało się. Co mnie jeszcze bardziej zaskoczyło, tyraliera składała się z uzbrojonych cywilów. Rewolucja? Okazało się, że był to pierwszy dzień polowania na zające.

W Brukseli dwa kolory zdały się dominować w centrum - czerń i złoto. Architektura nie miała tej lekkości co na południu Francji. W jednym z pawilonów wystawy pośród tłumu usłyszałem polską mowę. Pod ścianą siedziała grupka rodaków, a pośród nich rozpoznałem

pierwszego premiera Polski Ludowej, Osóbkę Morawskiego. Zaraz po wojnie jego podobizna zdobiła wszystkie urzędy w Polsce.

Odwróciwszy się do nich tyłem, aby nie zdradzić się wyrazem twarzy, że rozumiem, nadstawiłem uszu. Właśnie mówili o pieniądzach. Były premier włączył się do rozmowy: „A to by nam robotnicy dali, gdybyśmy wydali tyle pieniędzy”. Pomyślałem - ale drętwa mowa. Gdyby nie kłamał, powinien był powiedzieć - ale dali byśmy tym robotnikom, gdyby protestowali, że wydajemy tyle pieniędzy.

Spędziliśmy cały dzień obchodząc wystawę. Próba spożycia obiadu w restauracji, zamiast we własnym samochodzie przy drodze, co zwykle robiliśmy celem obniżenia kosztów podróży, zakończyła się niepowodzeniem. Jako że sklepu spożywczego nie udało się znaleźć, zaczęliśmy rozglądać się za skromną restauracją. Unikając luksusowych lokali w pobliżu rynku, wypatrzyliśmy jakąś niepokaźnie wyglądającą jadłodajnię z zacienionymi oknami przy wąskiej bocznej uliczce. Wewnątrz było niemal pusto. Czerwone lampki na stołach zaledwie rozpraszały mrok. Płomyki zakołysały się przy otwieraniu drzwi. Po nasłonecznionej ulicy minęło kilka długich chwil, zanim oczy przystosowały się do słabego oświetlenia. Spojrzawszy na menu zorientowałem się po przeliczeniu na dolary, że to nie na naszą kieszeń. Zaambarasowani własnym ubóstwem, poszeptawszy, wstaliśmy od stolika i wyszliśmy, prowadzeni do drzwi wzrokiem kelnera wystrojonego w czerń i biel z dodatkiem czerwieni czy też w czerń i czerwień z dodatkiem bieli, już dobrze nie pamiętam. Nie było widoków na znalezienie taniego hoteliku w Brukseli.

Spędziwszy większość dnia na wystawie, jeszcze za dnia opuściliśmy miasto, aby przed nocą dojechać do Francji, gdzie można było gdziekolwiek postawić namiot lub przenocować w samochodzie, gdyby nie udało się znaleźć taniego dachu nad głową. Belgia była gęściej zaludniona, nie wiadomo jakie tu były prawa i obyczaje. Po drodze do granicy zatrzymaliśmy się w Waterloo. Zwiedzanie sławnych pobojoisk zwykle kończy się rozczarowaniem. Ocalał domek, gdzie na piętrze spał generał Wellington przed bitwą. Za opłatą można było obejrzeć pokój i łóżko. W miasteczku wzniesiono kościół dla uczczenia pamięci poległych angielskich żołnierzy. Na ścianach wryto niektóre nazwiska. Przy nazwisku jakiegoś porucznika dopisano, że przed bitwą generał Wellington rozmawiał z nim (czy też podał mu rękę).

Zmrok już zapadał, gdy wyjeżdżaliśmy z Waterloo kierując się

ku granicy. Główna droga zaczęła się zwężać, przechodniów i samochodów nie było widać, najoczywiściej zjechałem na bok i zgubiłem się. Pod jedną z nielicznych latarni, w kręgu światła, stało dwóch mężczyzn. Właśnie pożegnali się i rozeszli. Wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem za jednym z nich. Zapytałem go o drogę, a on poznawszy po mowie cudzoziemca spytał, czy znam angielski. Okazało się że jest Anglikiem zamieszkałym w Waterloo. A to panu stąd bliżej do Londynu niż do Paryża, rzekłem, często pan odwiedza Anglię? Nie, powiada, ostatni raz byłem w Anglii w 1944 roku. Domyśliłem się reszty. W czasie wojny coś nabroił i ukrył się pewnie u jakiejś dziewczyny. Gdyby wrócił do Anglii, czekałby go sąd polowy. Podobna historia wydarzyła się we Francji. Żołnierz amerykański zasiedział się u dziewczyny i nie wrócił na czas do swojej jednostki. Była wojna, obawiał się surowej kary. Im dłużej odwlekał powrót do swego oddziału, tym więcej się bał. Zamieszkał u tej dziewczyny bez meldowania. Nie mogli się pobrać, bo nie miał dokumentów. I tak minęło trzynaście lat. Jednego dnia stał na ulicy gapiąc się, gdy dwa samochody zderzyły się tuż przed nim. Policjant podszedł i zażądał jego dokumentów jako świadka wypadku. I wszystko się wydało. Francuzi przekazali go armii amerykańskiej. Sąd polowy darował mu winę, z uwagi że dosyć przecierpiał ukrywając się tak długo.

Następnego dnia skręciłem na południowy wschód. Verdun - sławne pobojuwisko, sławne najbardziej z tego, że milion ludzi tu padło, a zwycięzcy nie było. Otoczona lasem krzyży stoi na wzniesieniu podłużna niska budowla, ma coś z bunkra, coś z fortu. W niej dwadzieścia otworów, za małe na okna, za duże na strzelnice. Pośrodku szpiczasta wieża. Wewnątrz korytarze w lewo i w prawo. W okienkach ciemnopomarańczowe szybki. Wnętrze wypełnia pomarańczowy półmrok. W oddzielnych jakby przegródkach czarne owalne kształty, ni to groby, ni to trumny - symbole francuskich dywizji, które to przyszły, aby zwyciężyć i zostały na wieczność.

Spadochroniarze z Algieru wylądowali na Korsyce bez pozwolenia rządu w Paryżu. Zanosilo się na zamach stanu przez armię. W Fontenet wstrzymano urlopy. Całą kompanię wartowniczą postawiono na nogi wobec możliwości sabotażu. Jedni wartownicy jak zwykle chodzili z bronią wzdłuż drutów, pozostali kręcili się bez broni wokół obozu pod pozorem wykonywania jakichś robót.

W czasie wakacji i weekendów robiliśmy wypadki, najpierw w najbliższą okolicę, potem coraz dalej. Zasięg tych wycieczek

wydłużał się po kraj Basków, Pireneje, Riwierę. Francja, a przynajmniej zachodnia jej część, obfitowała w mgły. Nigdy tyle ich nie widziałem co tu, zwłaszcza nocą. Niezwykłą właściwością tych francuskich mgieł było, że często nie dochodziły do samej ziemi. Ich pułap znajdował się na wysokości metra czy dwóch, zostawiając wolną przestrzeń. Jechało się jakby tunelem wyznaczonym powierzchnią drogi, pułapem mgły i pniami drzew po obu stronach.

Od rodaków dowiedziałem się o szwajcarskiej wytwórni zegarków INVICTA. Była ona jedną z tych mniej znanych w świecie, za to popularną wśród ubogich emigrantów. Zwykły zegarek na rękę kosztował osiem dolarów, z pokryciem kosztów przesyłki do Polski, gdzie był na nie popyt. Wysyłałem zegarki mojej matce, matce Marysi i żonie Andrzeja, odsiadującego kilkuletni wyrok. Te ostatnie, o czym wtedy nie wiedziałem, nie dochodziły do adresatki. Raz, wracając z Lombardii do St Jean przez Szwajcarię, odwiedziłem wytwórnię INVICTA. Gdy zdradziłem się z zamiarem zakupienia złotego zegarka dla Marysi, sprzedawca zaprowadził nas do osobnego pomieszczenia, gdzie otworzył coś w rodzaju wielkiej szafy. Na jej tylnej ścianie, niemal od podłogi aż do sufitu wisiały same złote zegarki: i małe, i duże, i te na rękę, i te cebulaste na łańcuszek, okrągłe, owalne, kanciaste, płaskie, brzuchate. Mieniły się hipnotycznym blaskiem wszelkich odcieni złota, podobnie jak promienie zachodzącego słońca przesączone przez opar dnia odbijają się w falach jeziora dziesiątkami słońc. Odczułem niemal ból, że nie mogą być moje - i ten, i ten, i tamten - wszystkie. Kupiłem najtańszy za 20 dolarów.

Do moich obowiązków należało udzielanie pierwszej pomocy ofiarom wypadków samochodowych amerykańskiego personelu. Zdarzało się to zwykle nocą i pośród mgły, gdy kierowca zasnął przy kierownicy i uderzył w drzewo. O wypadku powiadamiała francuska policja. Jechało się sanitarką, czasem w gęstej mgle, tak szybko, jak się tylko dało. Prawie wszystkie drogi były wysadzone „stuletnimi” drzewami, niektóre pamiętały chyba jeszcze królów i rewolucję. Stały gęsto, ich korony zlewały się. Za dnia jechało się jakby zielonym tunelem od wioski do wioski, od miasta do miasta. Jawory, klony, topole... Każdy odcinek drogi był wysadzony tylko jednym gatunkiem drzew, każdy tunel miał swój odmienny charakter. Gdy liście opadły, w słońcu szosa była w pręgach, jak skóra tygrysa. Nie sposób opisywać Francji nie wspomniawszy kwiatów. Rosły w ogródkach, oplatały płoty, wspinały się na ściany, wyglądały z okien.

Raz na drodze z Perigueux do Tuluzy, zamiast jechać główną szosą przez Brive, puściłem się na ukos i zaplątałem w sieć krętych dróg wijących się pośród wzgórz. Już chyliło się ku wieczorowi, gdyomalże nie wpakowałem się do rowu. Wyciągnięcie samochodu zajęło dużo czasu. Wkrótce dojechałem do miasteczka Gourdon. Spieszyło mi się, aby jeszcze za dnia znaleźć gdzieś w polu odpowiednie miejsce na postawienie namiotu, co nie było łatwe w tym podgórskim terenie. Jadę, jadę, jadę przez Gourdon, wyjechać nie mogę. Sądząc po mapie, Gourdon to mała miejscina, a tu końca nie widać. Ściemniło się. Minęło z pół godziny, gdy jakiś budynek zwrócił moją uwagę... chyba już go widziałem. Okazało się, że główna ulica ma kształt zdeformowanego koła, a ja krążyłem i dopiero za trzecim obrotem połapałem się, że krążę. Noc już zapadła, gdy znalazłem jakiś hotelik z jedną gwiazdą czy bezgwiezdny. Łóżka okropne, jak wszędzie we Francji, człowiek zapadał się i wisiał jak w hamaku. Tak odkryliśmy dolinę rzeki Dordogne. Niezwykle piękno, więcej niż piękno. Góry porośnięte lasem, w dolinach sady. Potoki wrzynają się w skały rzeźbiąc je w niezwykle kształty. Kamiennie wioski na zboczach wzgórz, jaskinie, w których przed dwudziestu tysiącami lat mieszkał Cro-Magnon. Cisza, jeśli czymkolwiek zmałona, to szmerem drzew na wietrze. Doznałem uczucia, że gdybym tu umarł i tu został pogrzebany, to żyłbym wiecznie. Wracaliśmy do Dordogne kilkakroć, za każdym razem zwiedzając groty Lascaux. Wstęp kosztował pół dolara. Czasy zmieniły się, dziś, aby wejść do Lascaux, trzeba pozwolenia ministra kultury Francji. I Dordogne już nie jest taka sama. Obrosły ją hotele, motele, restauracje, *giftshops*. Czy artysta Cro-Magnon chciałby dziś tu mieszkać?

We Francji historia jest wszechobecna. Pozostałości rzymskich amfiteatrów i świątyń. Niezliczone zamki, pałace i kościoły z każdego stulecia. W każdej wsi kamienna tablica z nazwiskami poległych w obu wojnach światowych, wielu w pierwszej, nieliczni w drugiej. Francuzi zachowali coś niecoś na poboju pod Verdun. Można zwiedzać linię Maginota. Nie rozebrali na cegłę wymordowanego i spalonego przez hitlerowców miasteczka Oradour. Zostawili je tak, jak wyglądało w godzinę śmierci w czerwcu 1944 roku. Na bramie wejściowej widnieje napis: *Le temps est resté figé pour que tu te souviennes* (Czas zatrzymał się tu, abys pamiętał).

Polacy lubują się w pomnikach. Rozebrali na cegły ruiny getta w Warszawie razem z otaczającym je murem, zamiast coś zostawić

na wieczną pamiątkę, i wystawili pomnik. Dla Żydów byłaby to Masada dwudziestego wieku. Rozebrali postrzelane wypalone ruiny wzdłuż Solca, gdzie na przyczółku czerniakowskim do ostatniego naboju walczyli Polacy, i wystawili pomnik Berlingowcom, cementowy.

Z Powstania Warszawskiego mogli zostawić jakiś podziurawiony bastion obrony na Starym Mieście. Rozebrali, co się dało, wystawili dwa pomniki. Na Starym Mieście, przy Długiej, przetrwał powstanie kościół garnizonowy. Ostał się, choć cały podziobany kulami, odłamkami, pociskami. Trzeba było go tak zostawić, wyremontować tylko od środka, naprawić dach. Byłby symbolem bohaterstwa i męczeństwa chrześcijańskiej Warszawy, pamiątką na wieczne czasy, wykutą żelazem w kamieniu. Nie, szczyrby załatali, otynkowali, odmalowali i w sercu Starówki stoi ta budowla bez wyrazu, nijaka, jakich wiele, stoi na wieczne czasy. Kto nie jest przekonany, niech porówna fotografie z 1945 roku z obecną.

Okolo roku 1955, w Tatrach, ponad Halą Kondratową oberwał się kawałek góry. Tocząc się w dół i łamiąc las rozpadał się na części. Dwumetrowy głaz skręcił ku północy i już przystając uderzył w schronisko i utknął w drewnianej ścianie jadalni, pół na zewnątrz, pół w środku. Można go było zostawić tak jak stał, nikomu i niczemu nie zagrażał, obudować go deskami, byłaby pamiątka i turystyczna atrakcja. Nie...Sfotografowali głaz, rozbili go na kawałki, a dziurę w ścianie zabili deskami. Musiało to kosztować o wiele więcej trudu niż zwyczajne obudowanie deskami. Coś takiego nie zdarza się nawet raz na sto lat. Na pewno ani Moskwa, ani politbiuro PZPR w Warszawie nie nakazały rozbijać tego głazu młotkiem.


W styczniu 1959 roku Amerykański konsul w Bordeaux powiadomił mnie, że przyszła nasza kolej na wyjazd do USA. List zawierał ponaglenie, by szybko złożyć wymagane dokumenty, jak świadectwo niekaralności, metryki urodzenia, a co najważniejsze *affidavit of support*. Ten ostatni miało dostarczyć NCWC (National Catholic Welfare Conference). *Affidavit of support* była to gwarancja udzielana przez organizację, że emigrant w chwili przyjazdu do Stanów ma zapewnioną jakąś pracę i mieszkanie. Bez *affidavitu* nie można było dostać wizen imigracyjnej. Od razu powiadomiłem naszego sponsora czyli opiekuna - NCWC. Przyszła odmowna odpowiedź. *Affidavitu* nie otrzymamy, bo nie mamy ślubu kościelnego, a tylko cywilny. List zawierał jednak także furtkę w formie rady - zwróćcie się do kapelana i załatwcie tą sprawę. Doszło

do wymiany kilku listów między obu stronami. Ja wyraziłem decyzję nie brania ślubu kościelnego. Za kogo mnie biorą? Nie poszedłem na współpracę z komunizmem, pomimo korzyści jakie to ofiarowywało. Dlaczego miałbym teraz sprzedać duszę za *affidavit of support*? Ostatni strzał oddało NCWC. Skreślili nas z listy podopiecznych, czyli zamknęli nasze dossier. Ostatni list z NCWC kończył się zdaniem:

Vouiller croire, Monsieur, a l'assurance de nos meilleurs sentiments. Podpisał się: *John B McCloskey, directeur pour la France.*

CATHOLIC RELIEF SERVICES - NATIONAL CATHOLIC WELFARE CONFERENCE

MOST REV. FRANCIS P. KEOUGH, ARCHBISHOP OF BALTIMORE
CHAIRMAN, BOARD OF TRUSTEES



NATIONAL HEADQUARTERS
531 Massachusetts Ave., N. W.
Washington, D. C.

SIÈGE CENTRAL POUR LA FRANCE :
140, RUE DU SAC
PARIS 7 - TEL. LITRE 70-51
" " " " 10-12
ARR. VILLEN. " CATHINA "

ADMINISTRATION -
350 FIFTH AVENUE
NEW YORK 1, N. Y.

Parys, dnia 20.11.1958

WK/nk

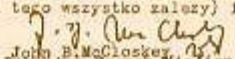
Fan Jan Kurdeanowski
LSCompany 4085
Fontenay (Chate Mno)

Szanowny Panie.

Mniejszym pozwalamy sobie w krótko jasno Panu przedstawić stan pańskiej sprawy.


- Podanie o przeniesienie pańskich akt z Monachium do konsulatu USA w Bordeaux zostało wysłane i mamy nadzieję że przedstnienie akt w niedługim czasie nastąpi.
- W następstwie, po zbadaniu pańskich sprawy przyznano Panu prawo otrzymania wize na podstawie ustawy o uchodźcach PL 55-316.
- wobec tego w najbliższym czasie trzeba będzie dostarczyć wszystkie do usenty - i tu zaznaczają nie trudności.
: Dokumentem niezbędnym do uzyskania wize na jakiegokolwiek podstawie jest Affidavit of Support. Niestety w tej dziedzinie nie możemy Panu pomóc tak długo jak długo nie będzie Pan miał ślubu zawartego w kościele - dlatego, że organizacja nasza jest organizacją katolicką i pomaga tylko tym katolikom którzy są w zgodzie z wymogami prawa kościelnego. W wypadku Pana chodzi o ślub kościelny, tym bardziej, że z listu Pana wynika, że nie ma państwo żadnych przeszkód aby ten ślub zawrzeć. Prosimy więc jak najprędzej w tej sprawie porozumieć się ze swoim ks. Kapłanem - i sprawę tę załatwić.
- : Jeżeli chodzi o sprawę azylu - to organizacja nasza tym nie jest zajmując ani niestety nie może Panu w tej sprawie pomóc finansowo. Jedyną pomoc finansową jakiej ewentualnie moglibyśmy udzielić to ~~niezależna~~ pożyczka na opłacenie części kosztów transportu do USA - o ile dostarczy Pan gwarancji conajmniej dwu osób które zobowiązały się oddać tę pożyczkę w razie gdyby Pan jej nie oddał.
- : Zresztą o ile się nie mylimy - to będzie Pan mógł otrzymać wize mając Friendspass - a nie koniecznie Reispass. Prosimy jednak co do tego upewnić się - najlepiej prosto w konsulacie w Bordeaux, 4 rue Saprist-dan Lois - aby nie mieć żadnych niespodzianek.

Czekamy na jak najszybszą odpowiedź Pana donosząca nam o zawarciu ślubu kościelnego - (bo od tego wszystko zależy) i laczemy wyrazy poważania i szacunku


 John B. McCloskey
 Director French Mission.

Zwerbowała nas do NCWC przedstawicielka tej organizacji w obozie w Zirndorfie. Zgodziliśmy się po jej zapewnieniu, że brak ślubu kościelnego nie stanowi problemu. W obozie działały trzy organizacje zajmujące się oficjalnie sprawami emigracyjnymi uchodźców. Polish American Immigration and Relief Committee (PAIRC), NCWC i jakaś trzecia ponadnarodowa i ponadwyznaniowa, której nazwy nie pamiętam. Wszystkie trzy organizacje otrzymywały dotacje w wysokości zależnej od liczby podopiecznych, czyli od łębka

- tak powszechnie uważano. Poza tymi trzema głównymi czynni byli także kwakrzy. Nikogo nie werbowali, ale można było zwrócić się do nich o pomoc w różnych sprawach i pomagali.



Kolersstrassen, den 11.2.1959
Ingenstraße 5

Einschreiben!


An Frau
 Maria KURDZIANOWSKA
 32 Rue des Bains
 St. Jean d'Angely
 Charente Maritime
 Frankreich

Betr.: Verlängerung Ihres Fremdenpasses und Erteilung einer Aufenthaltserlaubnis.
Bezug: Ihr Schreiben v.30.12.58 u.v.5.2.59.
Anlg.: Fremdenpass.

In der Anlage wird Ihr Fremdenpass nach Verlängerung der Gültigkeitsdauer und nach Erteilung einer neuen Aufenthaltserlaubnis wieder zurückgesandt. An Gebühren wurden berechnet: Gebühr für Passverlängerung und Auf.Erl. 4.50 DM + Porto 1.50 DM. Der Restbetrag zu 2.- Dollar in Höhe von 2.30 DM liegt in Briefmarken bei.

In Auftrag?
v. Blahn

CATHOLIC-RELIEF SERVICES NATIONAL CATHOLIC WELFARE CONFERENCE



MOST REV. FRANCIS F. KEDUSH, ARCHBISHOP OF BALTIMORE
CHAIRMAN, BOARD OF TRUSTEES

NATIONAL HEADQUARTERS
 121 Massachusetts Ave., N. W.
 Washington, D. C.

SIÈGE CENTRAL POUR LA FRANCE
 140, RUE DU SAC
 PARIS 7 - TEL. LITTÉ 79-61
 17-18
 ADR. TÉLÉGR. "CATHWEL"

ADMINISTRATION I
 350 FIFTH AVENUE
 NEW YORK 1, N. Y.

SD/JF Paris, le 22 janvier 1959

Monsieur Jan KURDZIANOWSKI
 L.S.C.O. 4085
 FONERRET
 Charente Maritime

Monsieur,

Comme suite à votre lettre du 5 janvier, nous regrettons de vous informer qu'il n'est pas possible à notre Organisation de vous aider davantage dans vos démarches d'émigration et nous nous voyons dans l'obligation de fermer votre dossier.

Le Consulat de Bordeaux a déjà un dossier vous concernant, par conséquent nous n'avons rien à leur transmettre. Vous devez désormais continuer à vous adresser directement au consulat de Bordeaux.

Veillez croire, Monsieur, à l'assurance de nos meilleurs sentiments.

John B. McCloskey
 John B. McCloskey
 Directeur pour la France

Odmowa udzielenia *affidavit of support* należała do rzadkości; jedynym powodem o jakim słyszałem mogło być popełnienie przez podopiecznego czynu kryminalnego.

Zwierzyłem się ze swych kłopotów dentyście nazwiskiem Brudvik, rodem ze stanu Dakota. Pracował w tej samej przychodni. Niedawno poznałem jego ojca, bankiera, gdy przyjechał do St Jean odwiedzić syna. Nie martw się, pocieszył mnie Brudvik, mój ojciec jest przyjacielem senatora, załatwimy to. Zaraz napisał do ojca, aby poprosił senatora o interwencję w mojej sprawie. Przyszła odpowiedź, senator umarł.

POLISH AMERICAN IMMIGRATION & RELIEF COMMITTEE INC.

(Formerly: Polish Immigration Committee)

Telephone 591629
Cables: PAIRC-MUENCHEN

EUROPEAN HEADQUARTERS

15 Bayerstr.
MUENCHEN 15, Germany

23 listopada 1959

W Pan Jan KURDWANOWSKI
Fontenet, Ch-te M-me
349 Gen Disp
France

Szanowny Panie,

Szkoda, że dopiero teraz przysłał Pan nam kopie listu NCWC, który był pisany do Pana dn. 22 stycznia 1959. Mielibyśmy wówczas trochę więcej czasu na salutowanie formalne przeniesienia Pana z NCWC do nas. Dzisiaj otrzymaliśmy list NCWC z Paryża, którzy, mimo naszej interwencji nie zgadzają się wystąpić o transport dla Pana.

Umówiliśmy się więc z USEP-em, że my o ten transport wystąpimy i w związku z tym prosimy odwrotnie podać nam następujące dane :

Mr. paszportów Państwa, gdzie wystawione, kiedy i do kiedy ważne. Numery wiz (chodzi o numer wydrukowany tłustym drukiem w prawym górnym rogu na pierwszej stronie, zaczynający się od I-) jak i kategorii kwoty, kiedy wystawiona, gdzie i do kiedy ważna. Potem potrzeba nam daty urodzenia Państwa, niejace urodzenia, narodowość, wyznanie, zawód. Rownież musimy wiedzieć, czy będzie Pan się amobilizował w Kaiserlautern, bo wówczas transport nastąpi z Niemiec, czy też będzie Pan mógł wyjechać wprost z Francji, - jeżeli tak, to czy wola Państwo wyjechać samolotem czy też statkiem. (za środek lokomocji gwarantować nie możemy, trzeba będzie wziąć ten, który dadzą). Od jakiej daty będą Państwo gotowi do wyjazdu ?

Wobec braku czasu, prosimy odwrotnie nadesłać nam powyższe informacje.

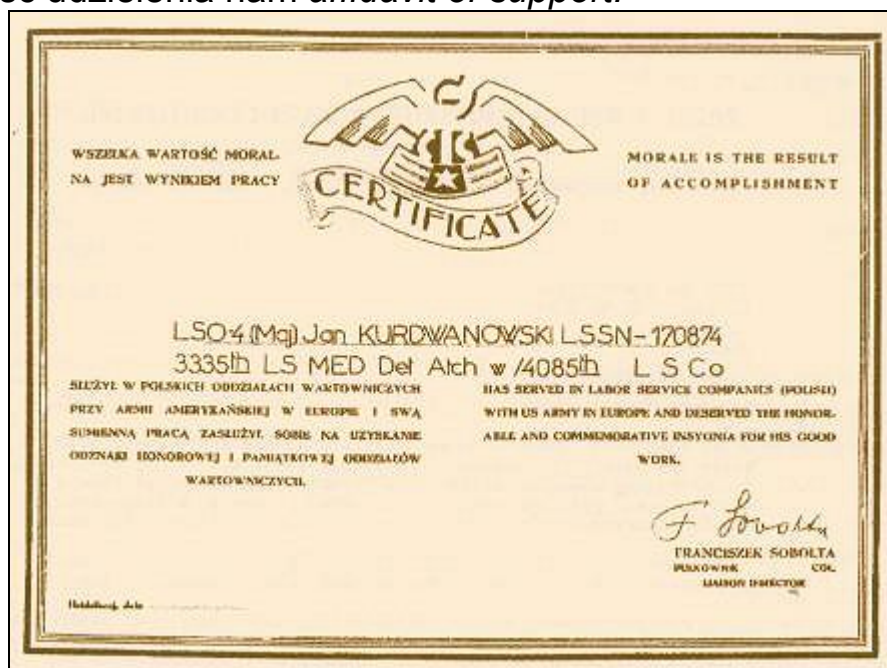
Z poważaniem

Ludwik Inzłenski
Ludwik Inzłenski
Dyrektor na Niemcy

*Odpowiedzieć
na to*

*P.S. in mail Pan do Komiteta dla
celony uchodźców w New York
(vide list non z 6. VII. 1959)
Jako że Pan plany w U.S.A.*

Zwróciłem się do Polish American Immigration and Relief Committee (PAIRC) w Monachium opisując nasze trudności z NCWC, z prośbą o przejęcie opieki nad nami. Na dwa listy nie było odpowiedzi. Czyżby rodacy w Monachium w ten sposób wyrażali solidarność ze stanowiskiem NCWC, czy też bali się zdrzeć z tą potężną organizacją. Zwróciłem się do kwaków, choć nie byli oni upoważnieni do załatwiania spraw emigracyjnych. Kwakrzy skontaktowali się z NCWC i z PAIRC. NCWC odmówiło zrobienia czegokolwiek w naszej sprawie. PAIRC obiecał przysłać mi kwestionariusz, ale nie przysłał. Po paru miesiącach napisałem do centrali PAIRC w Nowym Jorku i o dziwo w dwa tygodnie otrzymałem list od pana Rawskiego, dyrektora PAIRC na Europę, wyrażającego gotowość udzielenia nam *affidavit of support*.



Zaledwie sprawa wiz do USA zaczęła się posuwać naprzód po otrzymaniu affidavitów z PAIRC, znowu utknęła. Powodem był, mówiąc ogólnie, brak współpracy, żeby też nie użyć słowa sabotaż, ze strony NCWC, które nie mając zamiaru pomóc nam, jednak nie chciało wypuścić nas ze swoich „objęć” (czy też pazurów). Chodziło o pieniądze. United States Escapee Program (USEP) udzielił nam politycznego azylu i pokrywał koszty naszego przejazdu do Stanów. Jak wynikało z listów z PAIRC, NCWC nie chciało przerejestrować nas do PAIRC, blokując w ten sposób przelew pieniędzy przeznaczonych na transport chyba po to, aby nam uniemożliwić wyjazd do Stanów. Termin ważności naszych wiz upływał z końcem

lutego 1960 roku, a był to już listopad 1959 roku. Przed Nowym Rokiem przyszły dobre wieści. Dokumenty zostały skompletowane.

W Warszawie zostawiłem u matki słowniki polsko-francuski i polsko-angielski. Jako że nie miałem stałego miejsca zamieszkania, matka wysłała je do brata mojego przyjaciela, inżyniera zamieszkałego w Paryżu, w St Cloud. Po przyjeździe do Fontenet napisałem do niego raz i drugi, nie było odpowiedzi. Moje listy nie wróciły, domyśliłem się, że słowniki zatrzymał dla siebie. Mając już emigracyjne sprawy załatwione, przed sprzedażą samochodu wybraliśmy się po raz ostatni do Paryża. Na oku miałem też odzyskanie słowników. Zatrzymaliśmy się, jak zwykle, w dość obskurnym hoteliku w St Cloud, siedemset franków za noc. Po dziewiątej rano, a była to niedziela, wyruszyliśmy na poszukiwanie inżyniera. Częścią składową jego adresu było -ilot A, pavillon 16. Kilku przechodniów poinformowało mnie, że były to dawne nazwy bloków mieszkalnych, obecnie nieaktualne, już dawno przemianowano je. Gdy tak staliśmy pośrodku małego placyku bezradnie rozglądając się, zbliżał się ku nam mężczyzna z dziewczynką. Zwróciłem się do niego z tym samym pytaniem. Na to on, najwyraźniej zaskoczony, spytał kogo szukam. Wymieniłem nazwisko. *C'est moi*, odparł. Nigdy go nie widziałem, ale gdy był blisko przemknęło mi przez głowę, że to on. Zaprosił nas do siebie na herbatę z ciastkiem. Poznaliśmy jego rodzinę, odzyskałem słowniki. Spytałem, dlaczego wyszedł z domu o tej wczesnej porze. Odrzekł - powiedziałem do córki, chodźmy zobaczyć co grają w kinie.

Sprzedałem samochód i wynajęliśmy pokój w baraku na terenie obozu w Fontenet.

Musieliśmy zdecydować czym będziemy podróżować przez Atlantyk - okrętem czy samolotem. Wybraliśmy to pierwsze, z tonącego okrętu można się jeszcze uratować.

Żegnaj Saint Jean d'Angely, najmniejsze miasto o najdłuższej nazwie, w jakim kiedykolwiek mieszkałem. W Paryżu przesiadka na specjalny pociąg do Le Havre, gdzie już czekał transatlantyk AMERICA.

Do widzenia Francjo, spędziłem tu dwa najlepsze lata życia. Jeden z pisarzy powiedział, iż ten kraj ma taki czar ziemi, że ktokolwiek tu się osiedli, staje się Francuzem. Ja sam Francję z lat pięćdziesiątych porównałbym do pięknej kobiety, którą niedawno los ciężko doświadczył.

Piątego dnia żeglugi, po północy 22 lutego, roku 1960, okręt szybko zbliżał się do brzegów Ameryki. O świcie wyszliśmy oboje na pokład. Dał lodowaty wiatr. Tylko kilka osób odważyło się wysunąć z ciepłego wnętrza. Już dało się odróżnić linię horyzontu, tam gdzie morze stykało się z niebem. Ponad tą linią coś wysunęło się z wody, jedno, drugie, trzecie. Coraz liczniejsze wierzchołki drapaczy chmur wynurzały się z morza i rosły. Wreszcie ukazała się statua wolności, brzegi, mola, dźwigi portowe, okręty, a za nimi las wieżowców. Nowy Jork.